

Nelson S. Bond

Geniusz Lancelota Biggsa

(The Genius of Lancelot Biggs)

Fantastic Adventures, June 1940

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain

This text is translation of the short story "The Genius of Lancelot Biggs" by Nelson S. Bond.

This etext was produced from Fantastic Adventures, June 1940. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed.

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:

http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Powinienem podejrzewać że dzieje się coś złego, od razu kiedy kapitan Hanson zaczął do mnie słodko gruchać. Zazwyczaj mógłby używać głosu do łupania orzechów. Ale znacie mnie, starego dobrego ptasiego mózdzka Donovan. Jeśli ktoś kiedyś napisze historię mojego życia – tylko czy aby na pewno powinien? – zatytułuje ją „Podróże Frajera”.

W każdym bądź razie, w godzinę po tym jak unieśliśmy nasze grawy z Portu Kosmicznego Long Island, stary wszedł tanecznym krokiem do mojej wieżyczki radiowej, rozjarzony jak nova w mgławicy Worek Węgla. Rozsiadł się na jedynym wygodnym krześle i zapytał:

— No, Sparks, mój chłopcze, powiedz mi, jak ci leci?

— Jeśli chodzi panu o to — odparłem, — czy ostatniej nocy upiłem się, to odpowiedź brzmi „nie”. Jestem splukany, a poza tym barman we Wranglers’ Club nie da mi grosza kredytu.

— Powiedział mi — skomentował to stary — że użył twojego ostatniego czeku do uszczelnienia starego kalosza.

— Może tak i było — stwierdziłem ze spokojną godnością — ale nie należę do tych kosmicznych łazęgów, którzy muszą wypić parę głębszych za każdym razem gdy trafią do portu...

— A skoro już jesteśmy przy porcie — przerwał mi stary, — w tym rejsie mamy na pokładzie *Saturna* więcej pasażerów, niż koi w których moglibyśmy ich położyć. Tak więc...

Wtedy załapałem. Wyskrzeczając rozpaczliwie:

— Hej, zaraz! A co to jest – jakiś hotel?

— ...tak więc — ciągnął stary nie przeszkadzając sobie, — przydzielam twoją kwaterę specjalnemu pasażerowi. Facet nazywa się...

— Nie jestem zainteresowany jego nazwiskiem! — zawyłem. — Nie jestem hotelem miejskim. Proszę posłuchać, panie kapitanie, mam swoje prawa! Nie oddam swojej kwatery jakiemuś Ziemniakowi, tylko dlatego że nabrał ochoty aby trochę pogonić komety!

— Czy mógłbyś się zamknąć, Sparks? — warknął stary. — A może mam cię uciszyć drugim końcem klucza uniwersalnego? Nazwisko tego pasażera brzmi Thaxton i nosi on na sobie nalepkę „Obchodzić się jak z jajkiem”, nalepioną przez Doca Challengeera. Czy teraz możesz stulić gębę?

Mogłem i zrobiłem. Doc Challenger przypadkiem był prezesem IPS, korporacji która była właścicielem *Saturna*, Każdy jego przyjaciel był również przyjacielem mojego portfela.

— Umieszczam tego gościa, Thaxtona — mówił dalej Hanson, marszcząc brwi — w twojej kwaterze, ponieważ jest ona najdalej położona od ładowni rufowych. Przyjaciel, nie przyjaciel, nie mam zamiaru aby się zorientował, że przewozimy ładunek działek obrotowych i amunicji do nich, dla rebeliantów z Nowej Kalifornii.

Co do tego, miał rację. To nie była niczyja sprawa, tylko nasza własna. A teraz, spróbujcie mnie zrozumieć. Sądzę, że mamy prawo pomagać

rebeliantom. Po pierwsze, oni zasłużyli na niepodległość. Po drugie, nasi najważniejsi konkurenci, Cosmos Company, wspierała obecnych władców Nowej Kalifornii. Trzecim dobrym powodem, oczywiście było to, że z każdym dniem w którym ciągnęła się ta wojna, traciliśmy forszę.

Na samej Ziemi wojny nie było już niemal od stu dwudziestu lat – od czasu powstania w Północnych Indiach w '92. Ale rozdział ziemi i kontrola rządowa w koloniach, była ciągle czymś, co można by określić „niedokończoną kwestią”.

Zawsze trwały jakieś niewielkie, lokalne przepychanki. Jak oblężenie Fontanaland trzy lata temu, które niemalże doprowadziło do ruiny Marsa, jako wakacyjnego kurortu; Bunt Roliego w zeszłym roku, na Merkurym; a teraz, w tym roku, walka o autonomię prowadzona przez bandę kalifornijskich kolonistów z Ziemi, na wenusjańskim pogórzu.

Nasi eksperci od ładunku doszli do wniosku, że ze wszystkich statków IPS, *Saturn* będzie najmniej podejrzany o przemykanie broni. *Saturn* był stary, jak kawały z brodą. Był najpowolniejszym, najmniej zwrotnym ze statków ciągle jeszcze przemierzających próżnię. Ale zgadzałem się z Hansonem, że nie wolno było nikomu powiązanemu z obecnym rządem wenusjańskim, odkryć kontrabandy ukrytej w naszym ładunku.

Znaleźlibyśmy się szybciej w murach więzienia w Sun City, grając w kółko i krzyżyk, niż jakąjący android zdążyłby wydukać „Stała Plancka!”

Tak więc, skinałem głową:

— Okej, szefie. Ma pan rację, a ja się myliłem, tak jak zwykle. Ale co ja mam teraz zrobić? Spać w kuchni okrętowej?

— Nie, Sparks. Zabierzesz swoje manatki i udasz się do kwatery pana Biggsa. Możesz spać u niego, w trakcie tego rejsu.

— Co! Lancelot Biggs! Chce mnie pan władować do tego chodzącego precla? Hej, szef...

— Chciałbym ci przypomnieć, że mówisz o pierwszym oficerze tego blaszanego pudła – to jest statku! Proszę o więcej szacunku dla twoich przełożonych, Sparks. Chociaż jednak... — Popatrzył na mnie badawczo. — Chociaż jednak, myślałem, że ty i on, jesteście kumplami?

— Kumplami? — wyjęczałem. — Trafił pan jak kulą w płot! Lubię pana Biggsa, szefie. Ale nie chcę mieć go na głowie, jak kokardę we włosach, przez kolejnych dziesięć dni.

— Sparks! — ostrzegł mnie stary.

— Panie kapitanie, nie może mi pan tego zrobić! To tyrania, tak to należy określić!

— Nieważne jak to określimy! — przerwał mi stary z ponurą determinacją. — Ja określiłbym to poetycką sprawiedliwością. Nawarzyłeś sobie piwa, Sparks. Teraz musisz je wypić. A kiedy tak mi tu się tu wyżalas, może przypomnisz sobie, jak pomocny byłeś panu Biggsowi w sprawie znalezienia innego towarzystwa do kabiny!

Uśmiechnął się mściwie i wyszedł. Wtedy przypominałem sobie, jak pomogłem Lancelotowi Biggsowi w staraniach i w zdobyciu Diane, pięknej

córki szefa, która teraz gdzieś tam na Ziemi robiła przygotowania do ślubu. A potem jęknąłem.

Hansonowie, jak słońce, nigdy nie zapominają...

Tak więc przeprowadziłem się do pana Biggsa, i wszystko było tak, jak myślałem. Mój tyczkowaty przyjaciel, ten szalony geniusz kosmicznych szlaków, Lancelot Biggs, był bardzo rad, że dzieliłem z nim jego kwaterę.

— Mam nadzieję, że będzie ci wygodnie, Sparks — powiedział mi, przełykając ślinę i zmuszając swoje zdumiewające jabłko Adama do wykonywania dzikich podskoków. — Oczywiście, nie ma tu za dużo miejsca...

Co było mniej więcej równoważne stwierdzeniu, że na Lunie nie ma zbyt wiele H₂O. W kabinie pana Biggsa była tylko jedna koja. Jestem człowiekiem o normalnych gabarytach. Biggs, również, tylko jeden z jego wymiarów należy zaliczyć do dosyć osobliwych. Tj., jego szerokość wynosi mniej więcej jedną drugą przeciętnej członków załogi, za to jest dwa razy taki wysoki. Co mniej więcej się kompensuje.

Okazało się, że ma co najmniej siedemnaście różnych i odmiennych fizycznych osobliwości, z których żadna nie manifestowała się, dopóki po raz pierwszy nie wcisnęliśmy się razem do łóżka. Z niechęcią dowiedziałem się wtedy, że ma on jedenaście łokci i siedem kolan. A jego koncepcja wygodnego odpoczynku wiąże się z rozwaleniem się na wszystkie strony i gwałtownymi obrotami, przypominającymi miniaturowy wiatrak młyński.

Pierwszą noc spędziłem bezsenność. Drugiej udało mi się zdrzemnąć na parę chwil, co niemalże kosztowało mnie życie. Monstrualna krtań Lancelota Biggsa opadła raptownie na dół i walnęła mnie w łeb. Wygramoliłem się z trudem z łóżka, przyłożyłem na powstałego wskutek tego guza wielkości gęsiego jaja, okład z arniki i spędziłem resztę nocy, studiując z zamyśleniem historię życia starożytnego mędrca, znanego jako Prokrust.

Co wyjaśnia, dziewczęta i chłopcy, dlaczego musiałem przez dłuższą chwilę mrugać uwodzicielsko oczyma, kiedy kapitan Hanson przyprowadził do mnie na wizytę Thaxtona. Pierwszą oznaką pojawienia się obu panów, jaką odebrałem, był godny wściekłego byka ryk, bombardujący bębni moich uszu.

— Co to ma znaczyć, Sparks! Co ty robisz?

Wystrzeliłem ze swojego krzesła jak korek z butelki szampana.

Wybełkotałem:

— Ccsso? Kttoo? Och, to pan, szefie. Ja... zamyśliłem się.

— Strasznie głośno myślisz — zauważył kostycznie Stary. — Sparks, to jest pan Thaxton, nasz gość specjalny. Pan Thaxton miał ochotę porozmawiać z naszym radiooperatorem.

Thaxton wyglądał jak dziwaczny kaczor. Nie miał więcej niż pięć stóp dwa, najwyżej trzy cale, wzrostu. Nad powybrzuszonym jak gąbka w szwedzkiej łazience czołem, nosił strzechę najeżonych, marchewkoworudych włosów. Jego oczy były tak wyłupiaste, że mógłby sobie na nich

powiesić obrazki, a nogi wyglądały jak dwa nawiasy, szukające właściwie opisującej go frazy.

Skrzyżowaliśmy rękawice i spojrzenia, jednocześnie. Jego uścisk dłoni był taki, jak się spodziewałem po tym co widziałem: miękkie kluchy. Ale kiedy jego wzrok napotkał mój, przeszło mnie cholernie zabawne odczucie. Było to jak wstrząs elektryczny, ale nie do końca o to chodziło. Jakby obie półkule mózgu przecisnęło mi przez wyżymaczkę, również nie do końca. Trochę, jakby jakieś niewielkie paluszki zaczęły grzebać mi w szarych komórkach. Tyle że to również nie oddawało dobrze tego wrażenia.

Przełknąłem ślinę i mimowolnie wybełkotałem:

— Na rufie... Co się dzieje!?

Mały człowieczek nie odezwał się ani słowem. Po chwili, lekko się uśmiechając, powiedział:

— Miło mi było pana poznać, panie Sparks. Bardzo się cieszę.

Razem z nami był tam również Lancelot Biggs, oraz Dick Todd, nasz drugi oficer. Pan Biggs dziwnie mi się przyglądał. Po chwili powiedział:

— Sparks... może pokażesz panu Thaxtonowi swój sprzęt?

— Czemu nie? — zgodziłem się.

Pokazałem mu system komunikacji wewnętrznej statku, stanowiska kontaktowe, przy pomocy których mogliśmy połączyć się z Lunar III, stacjami na asteroidach i statkami latarniowcami różnych planet. Pokazałem mu karłowatego Ampie, wykorzystywanego do redukcji nadmiernego napięcia na płytach ładunkowych. Pokazałem mu wszystkie te rzeczy, które wywoływały u gości ochy i achy. Powiedział och i ach we właściwej chwili, a potem zapytał:

— A urządzenie płyty wizyjnej? Nigdy jeszcze takiego nie widziałem. Czy to jest coś nowego?

— Bardzo nowego — wyjaśniłem. — Too pan Biggs je wymyślił. Anoda uranowo-selenoidowa. Może lepiej nich pan objaśni jej działanie, panie Biggs. Pan to robi lepiej, niż ja.

Ta sugestia miała być żartem, ponieważ Lancelot Biggs jest najbardziej nieśmiałym człowiekiem w kosmosie. Ale ku memu zaskoczeniu, zrobił krok do przodu, z wyrazem zamyślenia na swej niezbyt przystojnej twarzy, i zaczął objaśniać działanie urządzenia.

I aby uczynić tę zwariowaną sytuację jeszcze bardziej idiotyczną, zaczął dziwnie wikłać podawane wyjaśnienia, jak prezenterka z programu telewizyjnego. To było niezwykle. Ponieważ jedną z najważniejszych zasad, którymi kierował się Biggs, było: „Najpierw zrozum teorię!”

Tym razem jednak, podczas gdy ja stałem zdumiony, Dick Todd marszczył czoło i przyglądał się zaintrygowany, a kapitan Hanson hmkał i chrząkał równie intensywnie jak żaba na gorącej blasze, Biggs zagłębił się w jakieś niesamowicie zaplątane wyjaśnienia. Sposób w jaki opisał działanie swojego radia był taki, że człowiekowi zajęłoby chyba jakieś czternaście lat, aby dostroić się do najbliższej stacji w kosmosie.

Parokrotnie musiał szukać odpowiedniego słowa. Za każdym razem nasz niewielki pasażer, Thaxton, który przysłuchiwał się z zajęciem jego zawiłym zawiłościom, podrzucał mu brakujące określenie. A kiedy, w końcu, dotarł do mglistych konkluzji, nasz gość oznajmił:

— No, tak. To było bardzo interesujące. Bardzo panu dziękuję, poruczniku Biggs. A teraz, panie kapitanie, mam nadzieję, że pokaże mi pan przedziały ładunkowe? Czy nie wspominał pan czasami o ładowniach rufowych?

— Mój Boże, nie! — przeraził się kapitan. — To znaczy... eee... nie. Tam nic teraz nie ma. Pójdziemy zobaczyć przednią ładownię.

I wyszli. To jest wszyscy, poza Lancelotem Biggsem. Wybąkał jakąś wymówkę i został ze mną w wieżycze sterówki.

Jako że zostałem teraz jego kumplem z łóżka, a nie tylko przyjacielem, poczułem się upoważniony do rezygnacji z formalizmów w rozmowie, kiedy byliśmy sami.

— Pomimo wszystko, Lanse — podkpiwałem sobie z niego — kiedy o czymś mówisz, powinienes dołączyć do swoich wyjaśnień jakąś instrukcję. Tak to wszystko wytłumaczyłeś, że nawet ja sam nie wiedziałbym jak używać tego urządzenia. Prawdę mówiąc, to nie jestem pewny, czy następnym razem uda mi się to poprawnie zrobić.

Dziwne, ale wyglądał na zadowolonego. Powiedział:

— Tak myślisz, Sparks? Naprawdę tak myślisz?

— Przyznaję — odparłem, — że naprawdę tak myślę. Tylko skąd ten entuzjazm?

Nagle zrobił się zupełnie poważny.

— Próbowałem jak najbardziej to zagmatwać — wyjaśnił. — Ale nawet pomimo tego, on się zbyt wiele dowiedział. Czy nie zwróciłeś uwagi, Sparks, że kilka razy, kiedy szukałem w myśli słowa, to właśnie on mi je podpowiedział?

— Jasny gwint, ty masz rację! — przypominałem sobie.

— I jeszcze jedna sprawa... na początku, kiedy kapitan cię przedstawiał, czy nie poczułeś czegoś... hmm... dziwnego? Musiałeś. Bo kiedy zacząłeś coś mówić...

— Czułem się — potwierdziłem jego słowa — jak pacjent w domu wariatów. Nie wiem dlaczego, ale poczułem jakby ktoś zaczął mi szperać po głowie, szukając informacji. Niemal mu wychłapałem naszą tajemnicę, gdzie ukryta jest nasza kontrabanda...

— Nie niemal, Sparks! — poważnie poprawił mnie Lancelot. — Zrobiłeś to! I to najgorszej możliwej osobie. Ponieważ, jeśli kompletnie się nie mylę, ten Thaxton jest szpiegiem! Więcej, on jest najsprytniejszym rodzajem szpiega. Myślę... że on jest esperem!¹

¹ W świecie Lancelota Biggsa, esper to człowiek przepowiadający szczęście. Jest w stanie to robić, dzięki swym zdolnościom wykorzystania postrzegania ekstra-zmysłowego, zjawiska psychologicznego odkrytego przez dr J.B. Rhine i opisanego w jego książce „New Frontiers of the Mind” (przyp. red. Amazing Stories).

Już w chwili kiedy to powiedział, wiedziałem że ma rację. Szpieg. I do tego esper! Na Ziemi jest ich bardzo niewielu. Większość z nich, to szarlatani. Ale paru...

Wysapałem:

— Lanse, ale na słodkie cienie Io! Jeśli on jest esperem, to na pewno dowie się wszystkiego o ładunku. Od ciebie, ode mnie, od kapitana, albo od kogoś z załogi... Ale co, u diabła, mamy z tym zrobić?

— Pad? — spytał Lancelot Biggs.

— Co? O co chodzi?

— Nic, nic. Tylko głośno myślałem.

— No cóż, lepiej wymyśl coś i to szybko! — rzuciłem ostro. — Inaczej wszyscy znajdziemy się w pudle, zaraz jak tylko dolecimy do Sun City. Przecież... przecież ten rudowłosy mały kapuś, zamelduje o nas, a wtedy będziemy ugotowani!

— Wiem — odparł Biggs. — To dlatego właśnie nie udzieliłem mu prawdziwych wyjaśnień na temat działania aparatu radiowego. Nie chciałem, żeby zakradł się tu kiedyś, jak cię nie będzie na służbie, i wysłał wiadomość na Wenus. Pomyślałem sobie, że jeśli uda nam się zyskać nieco na czasie, może zdołam wykombinować jakąś metodę... Sekwana? — rzucił gniewnym tonem.

— Słowo, którego szukasz — wtrąciłem — brzmi „szalona”. Posłuchaj, Biggs, mam! Wsadzimy tego gościa z pałkowatymi nóżkami do komory spalania i...

— Czasami, Sparks — wzdygnął się lekko maestro Marco Polo Biggs, — zastanawiam się jakie dziwne reakcje chemiczne zachodzą w tym twoim mózdzku. Oczywiście, że nie możemy użyć przemocy. Przede wszystkim, jeśli to zrobimy, to władze wenusjańskie będą wiedziały, że coś było nie tak, skonfiskują nasz statek i towary, nie bacząc na nasz nawicert¹, internują nas...

— Jeśli tego nie zrobimy — przypomniałem mu ponuro, — wszystko to i tak zrobią. A może przełożą nas przez kolano i jako nauczkę dadzą nam parę klapsów. Żelaznym łomem.

— Wiedza! — gorączkowo zaoponował Biggs. — Wiedza jest odpowiedzią na wszystkie problemy. Mam to prawie na końcu języka, ale nie mogę tego uchwycić. Mississi... nie! Tamiza? Nie!

— Tamiza? Czas płynie jak rzeka, na nikogo nie czeka — ułożyłem kalambur. — Och idź już sobie, będziesz taki dobry? Mam parę rzeczy do zrobienia. Ale szybko!

Poszedł więc sobie, a ja pstryknięciem włączyłem starą elektrownię i wkrótce prąd zaczął szumieć i śpiewać w cewkach radiowych. Wysłałem w eter paczkę drgań. I naprawdę chodziło mi tu o drżenie.

¹ Nawicert to zezwolenie na żeglugę i transport towarów, wydawane przez zagraniczne władze konsularne, zajmujące się podróżami kosmicznymi. W tym przypadku lot kosmiczny Saturna certyfikował wenusjański konsulat na Ziemi (przyp. red. Amazing Stories).

Skontaktowałem się z Joe Marlowem na Lunar III. Joe nie tylko najlepiej potrafił wyniuchać smrodek w interesie, ale był również moim osobistym przyjacielem. Poprosiłem go, żeby się dowiedział: (1) czy ten gościu, Thaxton, był naprawdę przyjacielem Doca Challenge'a, (2) czy na Ziemi nie było jakiegoś przecieku o naszych wyczynach z przewozem broni, (3) czy w wenusjańskich pierdlach była ciepła i zimna bieżąca woda.

Bardzo szybko nadeszła odpowiedź.

— Nie, nie i jeszcze raz nie.

Po czym Joe zapytał mnie na naszym prywatnym paśmie konwersacyjnym.

— O co chodzi z tym gościem, o nazwisku Thaxton?

Opowiedziałem mu więc o wszystkim. Wkrótce okazało się, po pierwsze, że Thaxton był na pokładzie *Saturna* na lewych papierach, po drugie nie moglibyśmy zakuć go w kajdany, nawet gdyby był tajnym agentem rządu wenusjańskiego, a po trzecie nawet nie powinniśmy próbować, pakować się w takie bagno, żeby to zrobić.

— Poza tym — wskazał Joe — musicie tylko zamknąć swoje kolektywne gęby na kłódkę. Wykonujecie rejs na warunkach nawicertu, a to oznacza że nie będziecie kontrolowani w Sun City. Możecie spokojnie wykonać krótki skok do Nowej Kalifornii i zostawić zawartość tylnej ładowni, wyznaczonym osobom. — Po tych słowach rozłączył się.

W chwilę później, drzwi otworzyły się z łomotem i do środka wpadł kapitan Hanson, z twarzą w kolorze mocno przypieczonego kurczaka. Wrzasnął:

— Sparks! Sparks, na miłość Boską, musimy się skontaktować z Ziemią, natychmiast albo jeszcze szybciej! Dowiedzieć się, co mamy robić! Ten facet, Thaxton, to podróba. I...

— Spokojnie, szefie — przerwałem mu ponuro. — Niech pan wysłucha wszystkiego. On jest szpiegiem. I jest także esperem.

— Ty... ty wiesz?

— Pan Biggs domyślił się tego godzinę temu. Omówiliśmy sytuację.

Potem opowiedziałem mu o rozmowie z Joe Marlowem i w szczegółach wyjaśniłem beznadziejny charakter naszej sytuacji. Ale Hanson nie poddawał się bez walki. Zachwiał się po moich werbalnych ciosach z lewej i prawej, ale ciągle trzymał z trudem gardę kiedy zabrzmiał gong.

Wyszedł z kontruderzeniem:

— No trudno, połącz się z Głównym Inżynierem Garrittym. Powiedz mu, żeby zawrócił to pudło. Wracamy na Ziemię...

Alleluja!

— Racja! — wrzasnąłem na całe gardło. — Racja!

W tej samej chwili, od drzwi wejściowych doleciał czyjś głos:

— Nie, panowie — oznajmił tajemniczy pan Thaxton. — Tego nie pozwolę wam zrobić! Polecicie dalej na Wenus, gdzie wasza perfidia będzie mogła zostać właściwie ukarana!

To zabawne, jak działa ludzki umysł. W takiej chwili jak ta, kiedy powinienem rzucić się na głowę w lodowate wody desperacji, wiecie o czym zacząłem myśleć?

Pomyślałem sobie: „Jezu, co za patetyczna kwestia!”. Zupełnie jakbym znalazł się na sali sądowej.

W tym momencie kapitan Hanson zaryzykował atak apopleksji, rycząc tak, że aż uniosły się meble:

— Co! Co pan sobie wyobraża rządząc się tutaj i wydając mi rozkazy na moim własnym statku kosmicznym? Jakim prawem...

Miniaturowy esper spojrzał znacząco na trzymaną w ręku broń laserową.

— Oto moje prawo, panie kapitanie. I wystarczy ono do czasu, kiedy pan i pańscy ludzie zostaną oddani w ręce sił zbrojnych rządu wenusjańskiego. I... Ach, pan Biggs. Pojawił się pan dokładnie na czas, aby przyłączyć się do naszego niewielkiego przyjęcia. Nie... jeśli będzie pan taki łaskawy! Proszę nie zmuszać mnie do... hmm... podjęcia drastycznych kroków. Niech pan będzie łaskaw unieść do góry ręce i wejść do środka... właśnie tak!

Biggs w swój zwyczajny powolny sposób, przypominający człapanie bociana na wrotkach, wszedł do pomieszczenia, wyraźnie nie orientując się, co się dzieje. I w ten sposób stał się łatwym łupem dla naszego „gościa”. Teraz z oszołomieniem szukał w naszych twarzach jakiegoś wyjaśnienia.

Wzruszyłem ramionami.

— Nie patrz na mnie — stwierdziłem w jego stronę. — Tryskam pomysłami jak profesor uniwersytecki na drugi dzień po solidnej popijawie.

Kapitan Hanson wznowił swój atak na Thaxtona.

— Jest pan głupcem — warknął, — jeśli pan się spodziewa, że coś takiego może się panu udać! Do diabła, przecież do Sun City jest jeszcze pięć dni drogi! Chyba nie myśli pan, że zdoła nas pan trzymać pod pistoletem przez pięć dni, co?

Thaxton uśmiechnął się lekceważąco.

— To nie będzie konieczne, panie kapitanie. Obawiam się, że nie docenia pan Biura Wywiadu i zasobów obecnego rządu wenusjańskiego. Tego samego — dodał wrogim tonem — który próbuje pan obalić. Kiedy *Saturn* przygotowywał się do opuszczenia Ziemi, podejrzewałem, że może on posłużyć do transportu kontrabandy. Zostałem pańskim pasażerem, jak się pan wkrótce dowie, dzięki...

— Lipnym papierom — zaszydziłem. — Etyczna praktyka w pańskiej profesji.

Zamiast się zaczerwienić, przyjął moje słowa za komplement.

— Ach, już się pan tego dowiedział? Moje gratulacje, Sparks! Nie wiedziałem, że w panu tkwią takie pokłady sprytu.

— Nie dowiedziałem się! — odparłem mu z oburzeniem. — Ale mimo wszystko potrafię rozpoznać fałszywkę, kiedy ją zobaczę.

— Kontynuując temat — uśmiechnął się głupio Thaxton — umówiłem się z *Cyklopem*, najlepszym krążownikiem kosmicznym wenusjańskiej floty, żeby przejął ten statek w połowie drogi pomiędzy obiema planetami. Tak więc, jak panowie widzą...

— Amazonka? — powiedział Biggs. — Wangpoo?

— Przepraszam, panie Biggs? — Thaxton wyglądał na zaintrygowanego.

Rzuciłem:

— Niech pan nie zwraca na niego uwagi, Thaxton. On jest trochę przemęczony. Powiedział pan...

To była zasłona dymna, desperacka walka o czas. Konfucjusz powiedział: „Mądry człowiek, który wyrwał się z pułapki, czasami zastawia taką samą dla siebie”. Chciałem, żeby Thaxton uważał, że ma nas wszystkich w garści. Dla oczywistych powodów.

— A więc, widzicie — mówił dalej uprzejmie, — za jakąś godzinę lub dwie, *Cyklop* wyjdzie na spotkanie w kosmosie *Saturnowi*. A wtedy, drodzy panowie, będę miał ogromną przyjemność przejąć ten statek, internować jego załogę i zająć jego ładunek jako kontrabandę... Nie, Sparks! Nie próbuj dotykać tego audio!

Cofnąłem się, speszony. Wyjąkałem:

— Ale... skąd pan wiedział, że ja...

Lancelot Biggs odpowiedział mi spokojnie:

— Sparks, czy nie mówiłem ci, że on jest esperem?

Wpatrywałem się w Thaxtona. Spytałem go:

— Czy... czy to prawda? Naprawdę czytał pan moje myśli?

— Można by tak to określić — odparł z rozbawieniem. — W każdym bądź razie, odgadłem twoje zamiary dzięki mojemu darowi postrzegania pozazmysłowego. Temu samemu darowi, dzięki któremu — nastroszył piórka, parszywy krzywonogi kogucik — zostałem tajnym agentem Numer Jeden, Wenusjańskiego Biura Wywiadu.

Rzuciłem gwałtownie:

— Skoro potrafi pan odczytywać moje myśli, dlaczego od razu pan tego nie powiedział?

Ale Thaxton skończył już z uprzejmościami. Powiedział do kapitana Hansona:

— A teraz, kapitanie Hanson, zadbajmy o to żeby znowu nam ktoś nie przerwał, tym razem jakiś bardziej zdolny intruz — rzucił szybki, kpiący uśmiech w stronę L. Biggsa. — Muszę prosić, żeby połączył się pan z mostkiem, maszynownią i ładowniami. Proszę wezwać każdego z członków załogi i rozkazać im, aby pozostali dokładnie tam, gdzie znajdują się w chwili obecnej. I to jak najsurowiej!

I sam zrobił to „jak najsurowiej”, wbijając swój pistolet w nerki kapitana Hansona. A ponieważ kapitan Hanson nie jest idiotą, zrobił co mu kazano. Podeszedł do systemu audio i wydał niezbędne polecenia.

Dick Todd był mocno zaintrygowany, ale oznajmił:

— Aye, panie kapitanie!
Główny Inżynier Garrity, odparł kwaśno:
— Kapitanie Hanson, czy pan myśli, że opuściłbym swój posterunek w środku lotu?
A szef bandy robociarzy powiedział po prostu:
— Doskonale, panie kapitanie!
Lancelot Biggs nadal nieustannie coś do siebie mamrotał. Zaczynałem się o niego martwić. Najwidoczniej dostał paskudnego przypadku wodogłowia.
Ciągle pytał sam siebie:
— Nil? Rzeka Czerwona? Dunaj?
Kapitan Hanson zakończył wydawanie poleceń. A przynajmniej tak mu się wydawało. Thaxton uważał inaczej.
— Jeśli byłby pan taki uprzejmy, panie kapitanie — przypomniał mu. — Proszę przekazać tę samą wiadomość głównemu stewardowi. Nie chcemy żadnych pomywaczy, albo kelnerów, którzy mogliby przerwać nasze tete-a-tete. Gdzie kucharek sześć, jak pan wie... — I wyszczerzył zęby w uśmiechu.
— Ha! — warknął szef. — Ha! Z radością zatańczę na pańskim grobie, Thaxton.
Ale połączył się z mesą, i głos naszego stewarda, z czystym londyńskim akcentem, doleciał do nas radośnie przez system audio.
— Aye, panie kapitanie! Pozostać na miejscu, panie kapitanie? Proste jak rogi renifera!
Potem wszyscy podskoczyliśmy do góry. Ponieważ z chuderlawego gardła Lancelota Biggsa wyrwał się potężny wrzask.
— To jest to! — ryknął na całe gardło. — To jest to!

Przez chwilę czułem się bardzo nieswojo. Palec wskazujący Thaxtona złowieszczo zaciskał się na spuście jego pistoletu laserowego i stwierdziłem już, że zastanawiam się jak będę wyglądał z wyprutymi bebechami. Potem Biggs przestał krzyczeć, a na obliczu małego człowieczka rozlał się wyraz ciekawości.

— Czy mógłbym się dowiedzieć, panie Biggs... — zaczął.
Twarz Biggsa zrobiła się czerwona. Wyglądał na strasznie zażenowanego swoim wybuchem. Popatrzył z zakłopotaniem na kapitana i na mnie.
— Ja... Ja bardzo przepraszam. Ale przez cały czas zastanawiałem się, jak bym mógł... — wykrztusił. — No cóż, w każdym razie wymyśliłem pewien sposób. — To jest... jeśli pan się zgadza?
Wybałuszone oczy Thaxtona wlepione były w niego.
— Człowieku, mów z sensem! — polecił z rozdrażnieniem. — Jak byś mógł, co? Sposób, na co? Jeśli się zgodzę, na co?
— No cóż, tak sobie pomyślałem. Panie Thaxton, w najbliższej przyszłości planuję się ożenić. Zupełnie nie mam ochoty, gnić w wenusjańskim więzieniu – a już szczególnie za udział w czymś, na co nie

mam żadnego wpływu. Taki właśnie miałem pomysł, taką nadzieję, że biorąc pod uwagę oddane panu usługi, mógłby pan się zgodzić, aby darować mi wolność...

Kiedyś, gdzieś, istniało może coś jeszcze bardziej czerwonego niż twarz kapitana Hansona. Ale musiało wybuchnąć. To samo zrobił szef.

— Zdrajca! — ryknął z całej siły. — Dlaczego, ty parszywy, brudny, podstępny, kosmiczny śmieciu! Chcesz nas sprzedać, tak? Ja ci pokażę!

I rzucił się na łebka, w kierunku seniora Biggsa. Ale Thaxton, teraz już bardzo zainteresowany, wkroczył między nich i zmusił szefa do tego, aby się cofnął.

Biggsowi powiedział:

— Pańska propozycja nie jest niemożliwością, panie poruczniku. Ale mógłbym zapytać, co pan ma do zaoferowania?

Biggs odparł:

— Kiedy pańscy ludzie wejdą na pokład *Saturna*, czekać was będą długie poszukiwania, nieprawdaż? Będą musieli przeczesać cały statek, w poszukiwaniu przemytu.

Thaxton prychnął.

— Dzięki pańskiemu głupkowatemu przyjacielowi, radiooperatorowi — zauważył — wiemy, że kontrabanda składowana jest w rufowej części statku.

— Ale w części rufowej jest wiele kontenerów — błagał go Biggs. — Mogę oszczędzić panu kłopotu przeszukania ich wszystkich. Powiem panu, do których trzeba zajrzeć – jeśli zagwarantuje mi pan ułaskawienie. Ja... mógłbym nawet podjąć służbę w waszej armii.

— Wenusjańska armia korzysta ze zdrajców — uszczypliwie stwierdził Thaxton, — ale ich nie zatrudnia. Jednak, wydaje mi się, że pańska sugestia ma pewną wartość. To jest interes, Biggs. A równie dobrze moglibyśmy zająć się tą niewielką sprawą, już teraz. A więc, jeśli poda mi pan po prostu numery kontenerów...

— Zabiję cię, Biggs! — zawył kapitan. — Jeszcze jedno słowo i wytnę ci serce, a potem zjem je na śniadanie!

Ale jego słowa padły na jałową glebę. Tak jakby poszczególne sylaby nie mogły przejść mu przez gardło z dostatecznie dużą szybkością, Biggs wyrzucił z siebie:

— Kontenery 13, 14 i 15, panie Thaxton. Pierwsze dwa wypełnione są amunicją. Ten trzeci zawiera działka obrotowe, granaty i dwa zestawy polowe...

W tej właśnie chwili, nadzieja ostatecznie mnie opuściła. To prawda, że dotychczasowe działania Lancelota Biggsa były dziwne, a on wydawał się mieć ochotę nas sprzedać żeby ratować własną skórę. Ale powstrzymałem się przed wydawaniem osądów – ponieważ wiedziałem co nieco, a przynajmniej myślałem że wiem, o geniuszu Biggsa. To była nadzieja wbrew wszystkiemu, że jego zachowanie jest jedynie przebiegłą

kalkulacją aby uśpić podejrzenia Thaxtona; a wtedy, przy pomocy jakiejś sztuczki, wszystko może jeszcze dobrze się ułożyć.

Ale kiedy podał numery tych kontenerów, w końcu wiedziałem, z ohydny poczuć niesmaku dla całej ludzkości, że Lancelot Biggs – mój niegdyś przyjaciel i towarzysz z którym dzieliłem łóżko – załamał się pod presją. Był zdrajcą! Ponieważ wyjawiał absolutną prawdę. Broń i amunicja były dokładnie tam, gdzie powiedział Thaxtonowi!

Kapitan Hanson patrzył na Biggsa, jakby był jakimś oślizgłym robalem. Szef nieznacznie otarł sobie ostentacyjnie ręce i splunął. Oczy Biggsa poszukały moich – ale ja nie chciałem odpowiedzieć mu spojrzeniem. Przez długą chwilę panowało milczenie, a potem Thaxton oznajmił:

— A skąd mam wiedzieć, czy powiedział mi pan prawdę, panie Biggs?

— Ale ja... ale przecież powiedziałem! — zaprotestował Biggs. Jego szczupłe nogi ugięły się, na czole wystąpił mu pot. Był chodzącym podłym okazem strachu oraz zdrady. — Wie pan, że...

— Nic o panu nie wiem — krótko stwierdził Thaxton. — A z tego co wiem, kontenery, o których pan wspomniał, mogą być zaprojektowane w taki sposób, aby wybuchnąć, jeśli ktokolwiek je otworzy. Jeśli tak jest...

W oczach Biggsa błysnęła nagle nadzieja. Wybeczał:

— Ale... Ale przecież pan jest esperem, czy nie?

— Tak, oczywiście. A co to ma z tym wszystkim wspólnego?

Biggs triumfalnie oświadczył:

— No cóż, w takim przypadku, kiedy wie pan na których kontenerach się skoncentrować, czy nie może pan wysondować ich swoimi myślami? Dowiedzieć się wszystkiego samemu? — Dodał jeszcze: — Ja... ja zawsze słyszałem, że naprawdę dobrzy esperzy, mogą się domyślać, co jest wewnątrz szczelnie zamkniętych pojemników.

Niewielki szpieg obruszył się:

— Nie „domyślać się”, Biggs! — rzucił ostro. — „Wiedzieć”! To jest właściwe słowo. Być może jest pan szczery. No cóż, nie trzeba wiele czasu, żeby to sprawdzić.

Ciągle uważnie trzymając nas na muszce broni, Thaxton rozpoczął swoje działanie. Jego ciało lekko zeszywniało. Wyłupiaste oczy zdawały się być jeszcze bardziej wybałuszone. Czoło pomarszczyło się w jakimś napięciu. Wargi lekko się poruszyły.

Kiedy jego niezwykły zmysł percepcji przerzucił pomost poprzez odległość dzielącą moją wieżyczkę od rufowych ładowni, usłyszałem słowa:

— Ach, kontenery! Numer 13, 14, 15. W pierwszym z nich, widzę skrzynie. Skrzynie wypełnione amunicją. Ach, tak. W następnym widzę...

Wtedy umysł przeszła mi myśl, tak oślepiająca niemal jakby był to efekt zwarcia w moich obwodach mózgowych. Szturchnąłem kapitana Hansona i skinąłem głową w stronę Thaxtona. W tym stanie na wpół katalepsji, był niemal bezbronny. Była szansa podjęcia walki, na to że może uda nam się rzucić przez pomieszczenie, powalić go na podłogę, wyszarpnąć mu broń z ręki, zanim nas dostanie. A przynajmniej, obu z nas.

Hanson natychmiast pochwycił o co mi chodzi. Jego zwieszane po bokach dłonie zacisnęły się w pięści. Poczułem jak ramię kapitana napiera na moje. A potem...

— Nie! — wyszeptał sycząco Biggs. — To nic nie da, panie kapitanie! *Cyklop* będzie tutaj lada minuta!

— ...amunicję — brzęczał monotonna głos Thaxtona. — Skrzynie wyładowane są po sam sufit. Ach! A w trzecim kontenerze...

— Z drogi, ty kompletnie pozbawione ikry dziwadło! — wychrypiało złośliwie Hanson. — Niech sobie przylatują! Jeśli mamy umrzeć, umrzemy jak mężczyźni!

— Ale — cicho oświadczył Lancelot Biggs, — my wcale nie musimy umierać!

I spokojnie, bez wahania, niemal delikatnie, zaczął mówić głośniej.

— Mówię do ciebie, Thaxton — powiedział uspokajającym, ojcowiskim tonem. — Słyszysz mnie? Słyszysz, co mówię?

— ...jest dwieście obrotowych działek — wymieniał dalej Thaxton. — Trzy kartony spłonek, karton... Tak, słyszę co mówisz.

— To dobrze — powiedział Biggs. — Posłuchaj, Thaxton, i zrób tak jak ci każę. Za parę minut...

Mówił pośpiesznie. I dobrze, że tak zrobił, ponieważ zaledwie kilka sekund po tym jak skończył, system komunikacji wewnętrznej zabuczał głośno. Szybko włączyłem komunikator i ujrzałem spanikowaną twarz porucznika Dicka Todda.

— Sparks! — wrzasnął. — Czy jest tam kapitan? Powiedz mu, żeby natychmiast tutaj przyszedł! Na wprost naszego przedniego włazu, znajduje się wenusjański statek. Przed chwilą wystrzelił nam przed dziób i rozkazał, żebyśmy się zatrzymali!

Biggs powiedział przepraszającym tonem:

— Panie kapitanie, czy pan mi pozwoli? — zaś szef skinął w milczeniu głową. — Todd — polecił mu pan Biggs. — Zatrzymaj się zgodnie z rozkazem. A kiedy wejdą na pokład, wyślij ich do tego pomieszczenia.

Pięć minut później, dowódca S.S. *Cyklop*, wpadł do wieżyczki sterowniczej, z gotową do strzału bronią, wspierany przez uzbrojony po zęby oddział abordażowy, żeby stanąć przed nieco dziwną scenerią.

Lancelot Biggs i ja, rozgrywaliśmy partię szachów. Kapitan Hanson radośnie grzebał w kablach mojego aparatu nadawczego. Thaxton siedział na czubku urządzenia wizyfonowego, drażniąc się z moim Ampie przy pomocy baterii do latarki.

— Jesteście wszyscy — wrzasnął dowódca, — aresztowani! Eeee... mam nadzieję. — A potem niepewnie rzucił w stronę Thaxtona: — Wszystko w porządku, panie Thaxton?

Niewielki człowieczek uśmiechnął się do niego jak cherubinek.

— Doskonale, panie komandorze — zawołał piskliwie. — A u pana?

Kapitan Hanson, któremu pieczołowicie pomagał Biggs, stanął prosto, poruszony:

— Czy mogę zapytać — oznajmił sztywno, — o powód tej inwazji? Mój drogi panie, takie nieuzasadnione wtargnięcie...

Dowódca *Cyklopa* wyglądał na oszołomionego. Przesunął wilgotną dłoń przez jeszcze bardziej wilgotne czoło i zapytał:

— Thaxton, czy zakończył pan swoje starania?

Thaxton uniósł wzrok i pokiwał głową.

— Mm-hmm! — stwierdził. — Wu-wu!

— A... a jaki jest ich wynik?

— Ona mnie nie chciała — Thaxton z żalem pokręcił głową. — Kiedy nalegałem, dała mi po twarzy...

— Ty piekielny idioto! — ryknął wenusjański dowódca. — Ja mówię o ładunku! Czy znalazł pan kontrabandę na pokładzie tego statku, czy nie? Jeśli pan znalazł...

Powietrzem, które wszyscy w tej chwili wstrzymali w płucach, można by wypełnić dwa balony stratosferyczne. Ale niewielki człowieczek zaraz przełamał urok. Przełamał? Rozbił na kawałki. Na tysiące malutkich kawałeczków. Oznajmił bowiem:

— Kontrabanda, panie komandorze? Och, litości, oczywiście że nie! Skąd ten pomysł, że na pokładzie tego statku mogłaby znajdować się kontrabanda?

I ześlizgnął się z aparatu wizyfonowego, aby obwieścić:

— No cóż, chyba lepiej będzie, jeśli już sobie pójdziemy, nieprawdaż? Kapitanie Hanson, dziękuję panu za miłą podróż. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś się zobaczymy.

Twarz wenusjańskiego komandora zrobiła się purpurowa, ale był on gentlemanem. Zwrócił się do kapitana Hansona:

— Proszę przyjąć moje przeprosiny, panie kapitanie. Mam nadzieję, że pan zrozumie, iż podczas wojny takie incydenty jak ten są nie do uniknięcia. Mój rząd wystosuje formalne przeprosiny do pańskiego.

A potem on, jego ludzie, jego statek, no i Thaxton – ten otumaniony mały kurdupel – zabrali się i odlecieli. A my mogliśmy spokojnie kontynuować naszą podróż. Cała presja umysłowa i wszystkie dręczące nas obawy zniknęły na zawsze. Przecież teraz mieliśmy *carte blanche* od wenusjańskiego rządu.

Po wszystkim strapiony kapitan, podszedł z wyciągniętą ręką do Lancelota Biggsa serdecznie go przepraszając.

— Proszę o wybaczenie, panie Biggs — powiedział szczerze. — Zupełnie się co do pana myliłem. Powinienem wiedzieć, że człowiek który potrafił zdobyć serce mojej córki, nie może należeć do takich co wiją się jak piskorze. Ale, ja... ja...

Aż zaniemówił ze wzruszenia. Biggs odparł.

— Wszystko w porządku, szefie. Musiałem to tak rozegrać. To był jedyny sposób by złapać go, kiedy nie będzie się pilnował.

Co było dla mnie sygnałem, na który czekałem. Powiedziałem:

— Taaa, tak dla jasności, stary. Czy mógłbyś mi coś wytłumaczyć, tak z grubsza, żebym to pojął? Może mam zbyt wolny pomyślnik, ale dla mnie to jest wciąż jedna wielka, niepojęta tajemnica. Zahipnotyzowałeś Thaxtona, kazałeś mu przekazać przełożonym, że jesteśmy czyści jak łąka. Ale jakim cudem? I kiedy to wszystko wymyśliłeś...?

— To było proste — wyjaśnił Biggs, — kiedy już zdobyłem pewną wskazówkę. Już dawno temu, w dwudziestym wieku, kiedy nauka o postrzeganiu pozazmysłowym była w powijakach, odkryto że najlepsi naturalni „esperzy” mieli nadczynność tarczycy. Thaxton miał nadczynność tarczycy. Wydatne brwi, wyłupiaste oczy, nerwowość — wszystkie oznaki na to wskazywały. I przypomniałem sobie również, ciekawy fakt odkryty podczas wczesnych eksperymentów z telepatią, że „esper”, kiedy wykonuje swoją robotę, jest szeroko otwarty na wpływy hipnotyczne. Kiedy ich umysł nastawiony jest na odbiór, absolutnie naturalne jest, że dobry hipnotyzer...

— A więc, ty znasz się również i na tym — wtrąciłem — pośród wielu innych rzeczy!

— Poznałem najbardziej ogólne podstawy tej sztuki — uśmiechnął się szeroko Biggs. — Kiedy miałem go już pod kontrolą, łatwo było zaimplantować w nim przekonanie, że przeszukał cały statek i nie znalazł niczego niepokojącego. Nigdy nie pomyśli inaczej. Wymazał ze swego mózgu wspomnienia o całym tym wydarzeniu.

Stwierdziłem z zamyśleniem:

— Co nie jest takim złym pomysłem, przynajmniej jeśli o mnie chodzi. Powiedz, Biggs, możesz to zrobić z każdym? Byłem winien Enderby’emu pięć kredytów, za ostatni miesiąc. Jeśli pomożesz mi o tym zapomnieć, nie będzie mnie to tak bardzo martwiło.

— A może — rzucił kostycznie kapitan — każcie zapomnieć o tym Enderby’emu. Na konto tego, że i tak nie zobaczy już swojej kasy. No dobrze, panie Biggs, lepiej już pan i ja wrócimy do swojej pracy.

— Chwileczkę! — błagałem go. — Jeszcze jedna sprawa. Biggs, dlaczego ciągle mamrotałeś pod nosem te nazwy? I dlaczego zaczęłeś wrzeszczeć „To jest to!”, kiedy Enderby wspomniał coś o jeleniu?

— **O**n powiedział „renifer” — wyjaśnił mi Biggs, — a nie „jeleń”. Renifer, ren — rzeka Ren. Po angielsku Rhine. To było słowo, którego mi brakowało. Wiedziałem, że to ma coś wspólnego z nazwą rzeki — ale nie mogłem sobie przypomnieć, której. Tak więc, profesor J.B. Rhine był pionierem badań nad postrzeganiem pozazmysłowym. Wiedziałem, że jeżeli zdołam sobie przypomnieć jego nazwisko, z pewnością wymyślę sposób na pokonanie Thaxtona.

— Ale dlaczego, do diabła, musiałeś sobie przypomnieć nazwisko Rhine’a? Przecież wiedziałeś o wszystkich innych rzeczach. Twoje „Najpierw poznaj teorię” nie dotyczyło tego przypadku, jako że znałeś całą teorię już wcześniej. Tylko traciłeś czas i niemalże doprowadziłeś do rozstroju nerwowego kapitana, oraz mnie!

Szef przerwał mi.

— No nie, Sparks. Nie mów tak do pana Biggsa... Chodź ze mną, synu.

Ale na twarzy mojego chudego kumpla, pojawił się wyraz kompletnej konsternacji. Jego jabłko Adama opadło tak nisko, że musiał mieć niestrawność jeszcze ze dwa dni później. I wydusił z siebie:

— O Boże, Sparks, ty masz rację! Ale nigdy nie przyszło mi do głowy żeby w ten sposób na to popatrzeć. Wszystko, co byłem w stanie wymyślić, to tylko to, że muszę przypomnieć sobie nazwisko naukowca, zanim zdołam odkryć rozwiązanie!

Mówię wam, ludzie, powinniście go poznać! Tego kompletnie zwariowanego, absolutnie szalonego, niewiarygodnego geniusza – Lancelota Biggsa.

KONIEC